
SERIA SZKÓŁ

Prefabrykacja szkół * Noga w gipsie * Praga Czeska * Urodziny Grzegorza * Seria szkół

W pierwszych latach sześćdziesiątych co roku planowano w Krakowie budowę 5-6 dużych szkół podstawowych. Przewidywano początkowo, że podobnie jak dotąd, realizowane one będą wszystkie w technologiach tradycyjnych, przy zastosowaniu cegły ceramicznej. Ale w tym okresie już prawie całe budownictwo mieszkaniowe na nowych osiedlach projektowane było w technologiach uprzemysłowionych, głównie w technologii wielkoblokowej, z zastosowaniem wielkogabarytowych prefabrykatów betonowych. Generalny wykonawca w Krakowie to jest Kombinat Budownictwa Mieszkaniowego - Nowa Huta nie zatrudniał już wtedy wielkich rzesz murarzy, to też zaproponowano naszemu biurowi zaprojektowanie nowych szkół również w technologii wielkoblokowej. Nie można było jednakże w tym celu wykorzystać prefabrykaty typu "Żerań", jakie stosowano w Krakowie w budownictwie mieszkaniowym, choćby z uwagi na inne wysokości kondygnacji, wielkości otworów okiennych itp.

W związku z tym KBM NH zlecił nam analizę zastosowania w Krakowie tzw. technologii typu "Wierzbno", po raz pierwszy zastosowanej do budowy szkół właśnie na osiedlu Wierzbno w Warszawie. Zlecenie było kompleksowe i dotyczyło: oceny walorów użytkowych i ekonomicznych zastosowanych projektów, sporządzenia harmonogramu budowy szkół i bilansów potrzebnych prefabrykatów oraz organizacji odpowiedniego poligonu produkcyjnego. Dla pierwszych szkół przedsiębiorstwo deklarowało nawet gotowość ewentualnego dowozu prefabrykatów z Warszawy lub Łodzi.

Podjąłem się wykonania zleconej pracy, która mi bardzo odpowiadała. Przede wszystkim pojechałem do Łodzi, gdzie uruchomiono już taki poligon typu "Wierzbno" i realizowano pierwszą szkołę podstawową w tej technologii. Oglądałem budowę szkoły, poligon, zrobiłem serię zdjęć, zapoznałem się z dokumentacją projektową, katalogami prefabrykatów, kosztorysami. Zajęło mi to niespełna dwa dni, więc przy okazji zwiedziłem jeszcze miasto, którego nie widziałem od około 6 lat. Przespacerowałem się ul. Piotrkowską, a następnie odszukałem w Miastoprojekcie-Łódź swego kolegę ze studiów wrocławskich Aleksandra Zwierkę, o którym wiedziałem, że jest jednym z głównych projektantów nowych osiedli łódzkich. Pokazał mi on swe najnowsze imponujące obiekty i kilka zespołów osiedlowych w Śródmieściu.

Po powrocie do Krakowa przedstawiłem swą bardzo pozytywną, a szeroko udokumentowaną ocenę technologii "Wierzbno", zamówiłem katalogi prefabrykatów w Biurze Projektów Typowych w Warszawie i zabrałem się do adaptacji projektów technicznych samych szkół. Polegała ona na powiększeniu szkoły z 16 na 18 izb lekcyjnych, uzupełnieniu rysunków detali, opracowaniu wersji w odbiciu zwierciadlanym oraz zagospodarowaniu działek szkolnych. Pierwsze moje projekty obejmowały po dwie szkoły na osiedlach G i H w Bieńczycach. W sumie ja sam w ciągu trzech lat zaprojektowałem w Nowej Hucie i Krakowie jedenaście 18 izbowych szkół podstawowych w tej technologii.

Natomiast KBM-NH uruchomił w krótkim czasie poligon prefabrykatów "Wierzbno", obejmujących pełny ich asortyment na ściany, stropy, klatki schodowe i dachy. Poligon pracował potem na dwie zmiany, zaś montaż stanu surowego dużego budynku szkolnego trwał jedynie około pół roku. Duża satysfakcja.

W marcu 1962 r. pojechaliśmy, w ramach naszych urlopów wypoczynkowych, na wczasy, znów do ulubionego Karpacza. Tym razem zamieszkaliśmy w dobrze wyposażonym

żonym i zaopatrzonym domu wypoczynkowym, należącym do zakładu pracy Kasi. Zabraliśmy ze sobą także naszego półtorarocznego synka. Były to jego pierwsze, rzeczywiste wczasy, jeśli nie liczyć pobytu u dziadków latem poprzedniego roku. Oczywiście nie mogliśmy już swobodnie dysponować swym czasem, gdyż Maciek wymagał stałej opieki i towarzystwa przynajmniej jednego z nas dwojga. Mnie to bardzo odpowiadało, wygrzewałem się z synkiem na słońcu i czytałem książki z wczasowej biblioteki.

Kilka razy poszliśmy jednak z Kasią na wycieczki górskie, wtedy nasz synek pozostawał pod opieką kogoś z personelu domu wczasowego. Niekiedy, na wypożyczonych na miejscu sankach, jeździłem wraz z Maciusiem na pobliskiej górze. Musiałem bacznie uważać przy zjeździe, gdyż górka kończyła się na zakolu serpentyny głównej drogi w Karpaczu. Ale ruch kołowy na niej był wówczas minimalny.



Nasi przyjaciele Stachniakowie
życiu, zdominowanym przez pracę zawodową i opiekę nad dziećmi, gdy byli małe.

W czasie jednej z takich zabaw saneczkowych spotkałem swego dawnego kolegę, z którym pracowałem 8 lat wcześniej w Dyrekcji Budowy Miasta Nowej Huty, Igora Stachniaka. Przebywał on również na wczasach wraz z żoną Ireną i kilkuletnim synem, Andrzejem. Nawiazaliśmy z nimi kontakt i kontynuowaliśmy potem znajomość w Krakowie. Odwiedzaliśmy się wzajem wielokrotnie, zwykle w soboty lub niedziele, na małych kulinarnych przyjęciach, które zwykle kończyły się grą w brydża. Stał się on w ogóle w tamtych latach naszą namiętnością i relaksem w dość uciążliwym i jednostronnym

Z początku lata gościliśmy moją siostrę z córką Grażynką i cicią Nelę. Była piękna pogoda, więc chodziły one wszystkie na spacer, zabierając oczywiście ze sobą Maciusia w wózek. Ja miałem dzięki temu nieco więcej czasu, który poświęcałem głównie na pracę zawodową.

Wybraliśmy się także wtedy do Ogrodu Zoologicznego, który jest usytuowany daleko od centrum Krakowa w Lasku Wolskim. Nasz maluch był wniebowzięty, oglądając co raz to inne zwierzęta. Bardzo go interesowały i trzeba było go mocno trzymać, gdy wyrwał się do różnych jeleni, kucyków, antylop czy wielbłądów. Ja oczywiście opowiadałem mu gdzie poszczególne zwierzęta żyją, czym się odżywiają itp.

Miałem w ogóle zwyczaj i przyjemność opowiadania Maćkowi na naszych spacerach o poważnych i dorosłych sprawach, zresztą także w sposób profesjonalny i szczegółowy. Mówiłem mu więc, na przykład, jak wytwarza się szkło, stal, beton, lub papier, w jaki sposób buduje się domy, maluje obrazy, jak zbudowany jest nasz układ planetarny itd. I o dziwo słuchał tego zwykle z wielkim zainteresowaniem, nigdy nie dopominając się bynajmniej żadnych bajeczek o wilkach, czerwonym kapturku, krasnoludkach, smokach, czy tym podobne. I co jeszcze dziwniejsze, po wielu, wielu latach zaskakiwał mnie tym, że to i owo z tych opowieści zapamiętał.



Maciek ze słonikiem na tapczanie

Pewnego wrzeźniowego popołudnia, gdy siedziałem z Maćkiem przy stole w kuchni, nagle spadł z krzesła. Uderzył się przy tym swą lewą nogą w kanciastą nogę stołu. Podniosłem go zaraz i jeszcze strofowałem za to, że tak się wiercił na krześle, aż upadł. Wieczorem i w nocy kwilił żałośnie, bo bolała go ta noga, więc nazajutrz, a była to niedziela, pojechaliśmy do szpitala. Tam wykonano odpowiednie zdjęcie rentgenowskie, a po jego wywołaniu lekarz poinformował nas, że nastąpiło pęknięcie kości goleniowej, oraz że konieczne jest założenie usztywniającego opatrunku gipsowego, który też niezwłocznie został wykonany. Mieliśmy więc kłopot z dodatkową pielęgnacją unieruchomionego syna. Nadal zabieraliśmy go jednakże w wózku na spacer, mógł siedzieć na ławce, czy kolanach.

Po tygodniu wzięliśmy oboje z Kasią urlopy wypoczynkowe i pojechaliśmy razem z Maćkiem na wczasy do Zakopanego. Nie planowaliśmy swych urlopów w tym czasie, ale mogliśmy w ten sposób poświęcić synowi więcej czasu, a poza tym zapowiadała się piękna pogoda. Wzięliśmy oczywiście także wózek spacerowy.

Wędrowaliśmy po całym Zakopanem od Doliny do Białego po Gubałówkę, wszędzie z Maćkiem na wózku. Ale po tygodniu, zgodnie z zaleceniem chirurga, w szpitalu zakopiańskim zdjęto mu dotychczasowy opatrunek gipsowy i założono nowy, złożony z dwu oddzielnych łupin. Odtąd codziennie zdejmowaliśmy te łupiny celem przemycia nogi i natarcia jej kremem pielęgnacyjnym. Mianowicie skóra pod gipsem była bardzo spierzchnięta i zwiotczała i wymagała regeneracji. Samo pęknięcie kości goleniowej, jak wykazało kontrolne zdjęcie zrosło się szybko już po dwu tygodniach. W ostatnich dniach naszego pobytu w Zakopanem opatrunek gipsowy w ogóle został usunięty i Maciek mógł już normalnie chodzić.



Maciek z nogą w gipsie

Przez cały czas turnusu była słoneczna pogoda, to też wykonałem kilkadziesiąt zdjęć, których głównym bohaterem był naturalnie nasz "król Maciuś I". Miałem dobry, kupiony niedawno, nowoczesny, małoobrazkowy aparat "Werra", produkcji enerdowskiej, używałem go zwłaszcza na wczasach, wycieczkach itp.

Odbitki wykonywałem potem sam wieczorami, lub w niedzielę, korzystając z małej ciemni fotograficznej, znajdującej się w moim biurze. Była ona wyposażona w cały niezbędny sprzęt, to jest koreks do wywoływania filmów, plastikowe szczypcy i wanienki, maskownice, powiększalnik i baseny do płukania gotowych odbitek. Takich hobbystów, parających się fotografią na własny użytek, było wówczas w Polsce bardzo dużo i przyjęło się, że organizacje związkowe we większych zakładach pracy urządzały ciemnie fotograficzne dla swych pracowników.

Kupowałem w sklepach tylko pakiety papieru zdjęciowego i chemikalia, z których sam sporządzałem wywoływacz i utrwalacz, potrzebne do wywołania błony filmowej i odbitek. Była to epoka zdjęć czarno-białych, dla których technologia obróbki filmowej jest stosunkowo prosta. Bardzo lubiłem to swoje hobby fotograficzne, przy tym bardzo niewiele ono kosztowało. Uprawiałem je aż do czasów mody na slajdy, to jest do 1971 roku. W efekcie mam 12 dużych i kilka mniejszych albumów rodzinnych, będących wierną pamiętką mego życiorysu tamtych lat.

7 listopada pojechałem na tygodniową wycieczkę turystyczną do Pragi Czeskiej, zorganizowaną poprzez Biuro Podróży "Orbis" dla Rady Zakładowej Związku Zawodo-

wego w moim biurze. Był to pierwszy mój wyjazd za granicę w Polsce Ludowej. To milionowe miasto, malowniczo położone w dolinie wijącej się Wełtawy i na okolicznych wzgórzach, podobało mi się bardzo. Zwiedziłem później jeszcze 12 innych stolic europejskich i oceniam, że Praga jest w ogóle najpiękniejszym miastem stołecznym w Europie. Nie bez znaczenia w tej mojej ocenie jest, obok walorów architektoniczno-krajobrazowych, także swojskość tego miasta dla nas, Polaków.

Zwiedzanie miasta zaczęliśmy od śródmieścia w godzinach popołudniowych. Miasto wyglądało jakby wymarłe; było bardzo mało przechodniów na ulicach, pustki w sklepach, restauracjach i kawiarniach. Pod tym względem Praga różniła się znacznie np. od Krakowa, bardzo ruchliwego o każdej porze dnia. Sytuacja wyjaśniła się jednakże w godzinach popołudniowych i wieczornych, gdy śródmieście wypełniło się wprost tłumem ludzi. Po prostu w godzinach rannych i południowych wszyscy Prażanie pracowali w swych biurach, fabrykach, uczelniach i dopiero po jej zakończeniu wychodzili na miasto, by zrobić zakupy, spotkać się w kawiarniach i bardzo licznych klubach z przyjaciółmi, pospacerować po placach i parkach.

Zwiedziliśmy rozległy Zamek Królewski na Hradczanach, Most Karola z dziesiątkami posągów, Złotą Uliczkę z miniaturowymi domami i sklepikami, Rynek Staromiejski z ratuszem i pomnikiem J. Husa. Przed Ratuszem czekaliśmy na wybicie godziny i pokazanie się galerii ruchomych figur w dwu oknach nad dwoma wielkimi zabytkowymi wielofunkcyjnymi zegarami. Zwiedziliśmy też maleńki Cmentarz Żydowski z nagrobnymi płytami, stojącymi gęsto obok siebie na grobach, w których zmarli też pochowani zostali na stojąco. W bibliotece uniwersyteckiej z XV wieku oglądaliśmy zbiór miniaturowych książeczek wielkości małego paznokcia. Oczywiście można je było czytać jedynie przy pomocy załączonej lupy. Byliśmy w teatrze "Laterna magika" na oryginalnym spektaklu, w trakcie którego stosowano różne sztuczki magiczne z przenikaniem obrazów, grą cieni itp.

Najwięcej czasu spędziliśmy na Placu Waclawa, będącym centralnym deptakiem Pragi, ze sklepami najbardziej odwiedzanymi przez turystów. Ja kupiłem tam szykowne, granatowe rajtuzy i buciki dla Maćka oraz modny nieprzemakalny płaszcz włoski dla siebie. Oczywiście byliśmy też na piwku w wielkiej piwnicznej restauracji "U Fleka", a także "U Kalicha", gdzie piwo pijał dzielny wojak Szwejk, żyjący w czasach cesarza Franciszka Józefa I, którego portrety zdobiły ściany piwiarni.

Przez jeden dzień zwiedzaliśmy autokarem dalsze dzielnice i znaczące obiekty Pragi, a na pół dnia pojechaliśmy zwiedzić Zamek w Karlsteinie. Zamek ten niczym orle gniazdo tkwił na szczycie góry, dominującej nad całą okolicą na północny zachód od czeskiej stolicy.

W drodze powrotnej zatrzymałem się na jeden dzień we Wrocławiu, gdzie przenokowałem i odwiedziłem w szpitalu swą siostrę, chorującą od dłuższego czasu w wyniku zatrucia pokarmowego grzybami. Przywiozła je, jak co roku, od rodziców z Kępna. Ojciec był świetnym znawcą grzybów i jeździł na grzyby rowerem do lasów w rejonie rzeki Prosną, wracał zwykle z pełnym koszem dorodnych maślaków, rydzy i borowików. Pech chciał, że raz znalazł się w koszu jakiś grzyb trujący.

Rok 1962 był drugim rokiem realizacji 5-letniego planu gospodarczego Polski. Stał on bardzo ambitne cele gospodarczego rozwoju kraju, zwłaszcza w zakresie rozbudowy bazy surowcowej i paliwowo-energetycznej. W lutym uruchomiony został rurociąg "Przyjaźń", tłoczący ropę naftową zza Uralu do nowych wielkich rafinerii w Płocku i w NRD. Uruchomiono też w ciągu roku: największą wówczas elektrownię w Polsce w Turoszowie na Dolnym Śląsku, wraz z towarzyszącą jej odkrywkową kopalnią węgla brunatnego; kopalnię węgla brunatnego "Pątnów" w nowym zagłębiu konińskim oraz

kopalnię węgla kamiennego "Jastrzębie". Ta kopalnia w małym miasteczku Jastrzębie Zdrój była jedną z pierwszych w nowym zagłębiu węgla kamiennego, tworzonym na tzw. "Zielonym Śląsku", to jest w Rybnickim Okręgu Węglowym. Budowano od podstaw wielkie zagłębie wydobywcze i przetwórcze siarki w rejonie Tarnobrzegu. Duże pieniądze skierowane zostały też na budowę szeregu fabryk nawozów sztucznych i maszyn dla potrzeb rolnictwa.

Tak więc "odwilżowe" trzy lata po 1956 roku, gdy za priorytetową w gospodarce traktowano rozbudowę przemysłu lekkiego, pracującego bezpośrednio dla potrzeb ludności, należały już do przeszłości. Plan 5-letni na lata 1961-65 stawiał z powrotem na piedestale gospodarki narodowej przemysł ciężki, wydobywczy i energetyczny. Puls kraju zaczęto znów odmierzать głównie milionami ton wyprodukowanego węgla kamiennego i brunatnego, stali, siarki, nawozów sztucznych, a nieco później także miedzi.

W jakimś stopniu trzecia polska pięcioletka była też odpowiedzią na sytuację polityczną w świecie. Pod tym względem rok 1962 był bardzo podobny do swego poprzednika, gdy konfliktowe sytuacje i konfrontacje zbrojne przeplatały się z różnymi konferencjami rozbrojeniowymi i umowami o współpracy między zwaśnionymi stronami.

Podobnie jak w 1961 roku, zaistniała jedna realna groźba wybuchu wojny światowej, przy czym tym razem chodziło nie o Berlin, lecz o Kuba. Mianowicie, po stwierdzeniu dużych dostaw na Kubę broni radzieckiej i rozpoczęciu instalowania na wyspie broni rakietowej, USA dokonały blokady tego niedużego państwa karaibskiego, żądając od ZSRR zaprzestania dostaw broni i demontażu zainstalowanych już wyrzutni rakietowych. Kryzys został wówczas szybko zażegnany, bo Chruszczow zgodził się na warunki amerykańskie w zamian za zapewnienie ze strony USA, że nie dokonają inwazji na Kubę. Prezydent Kennedy złożył taką deklarację, którą potem USA rzetelnie przestrzegały, nie znosząc wszakże swego gospodarczego embarga i nie rezygnując bynajmniej z zamysłu uduszenia w ten sposób małego, niepokornego sąsiada.

Natomiast w marcu odbyła się kolejna konferencja rozbrojeniowa w Genewie i zawarta została umowa amerykańsko-radziecka o pokojowym wykorzystaniu przestrzeni kosmicznej. Kończyły się wojny w Algierii, która uzyskała niepodległość państwową, i w Kongo, gdzie oddziały ONZ położyły kres secesji prowincji Katanga. Tak więc w 1962 roku, podobnie jak w 1961, sytuacja geopolityczna kształtowała się nadal zgodnie ze znanym kabaretowym powiedzeniem Olgi Lipińskiej, że "Co się polepszy - to się popieprzy".

Trwała też nadal wielka rywalizacja supermocarstw w Kosmosie, przy czym Stany Zjednoczone skupiły się na badaniach planety Wenus, a ZSRR wysłał kolejne sondy na Marsa. Ponad to USA wprowadziły na orbitę okołoziemską pierwsze satelity telekomunikacyjne do przekazywania programów TV między Ameryką i Europą, a ZSRR wystrzelił załogowy statek "Kosmos" nowego typu.

W 1963 roku rozpoczęto w Krakowie realizację programu przyspieszonej budowy szkół podstawowych i średnich. Było to głównie konsekwencją przyjętej w lipcu 1961 r. przez Sejm ustawy o wprowadzeniu w Polsce 8-klasowych szkół podstawowych i przedłużeniu obowiązkowej nauki o jeden rok. W jej wyniku zaistniała potrzeba poważnej rozbudowy sieci szkół w kraju, co zawarte zostało w popularnym i nośnym hasle: "Tysiąc szkół na 1000-lecie". Już wcześniej w 1959 r. utworzony został Społeczny Fundusz Budowy Szkół Tysiąclecia, zresztą na wzór, istniejącego w pierwszych 10 latach PRL, Funduszu Odbudowy Stolicy. W 1963 r. zgromadzone fundusze zostały uruchomione i rozpoczęła się realizacja programu.

W Krakowie wyglądało to w ten sposób, że oprócz bieżącej realizacji obiektów szkolnych na nowych osiedlach mieszkaniowych, wprowadzono do planów inwestycji-

nych na lata 1963-1965 siedem dodatkowych budynków szkolnych. Po ustaleniu ich lokalizacji, Dyrekcja Inwestycji Miejskich zleciła opracowanie dokumentacji techniczno-roboczej na ich realizację do naszego biura. Tak się złożyło, iż wszystkie one trafiły do mojego zespołu.

Do mnie należało aktualnie również opracowanie dokumentacji projektowej dla trzech szkół na osiedlach nowohuckich, więc łącznie do końca roku miałem przygotować dokumentację dla dziesięciu szkół podstawowych i średnich, w tym jedna na 12, a pozostałe po 18 izb lekcyjnych. W przypadku szkół w Nowej Hucie (Bieńczyce) wystarczyło opracowanie projektów techniczno-roboczych, krakowskie szkoły wymagały dodatkowo wcześniejszego wykonania i zatwierdzenia projektów wstępnych, obejmujących koncepcje architektoniczne, zagospodarowania terenu, instalacji i sieci uzbrojenia, wytycznych realizacji inwestycji oraz zbiorczych zestawień kosztów. Do tych projektów wstępnych przystąpiłem dopiero w kwietniu-maju po otrzymaniu od inwestora niezbędnych planów sytuacyjno-wysokościowych i dokumentacji geologiczno-inżynierskiej.

Tymczasem w I kwartale koncentrowałem się na projektach dla szkół nowohuckich. Równocześnie w zespole prowadziliśmy nadzory autorskie nad budującymi się Centralnym Ośrodkiem Chłodnictwa i biurowcem "Prozamet", ciągle jeszcze wykonując dla tych inwestycji różne uzupełniające rysunki robocze. Staszek wykonywał ponadto szereg innych dokumentacji, a jeszcze przyjmowaliśmy różne pomniejsze prace oraz podzlecenia z innych pracowni, dotyczące rysunków inwentaryzacyjnych, obiektów kubaturowych, związanych z uzbrojeniem terenu i małej architektury, a zwłaszcza projektów wnętrz. Te ostatnie dla pracującego w naszym zespole projektanta wnętrz Kazia Morawca.

Od stycznia 1963 roku zacząłem również pełnić funkcję zastępcy kierownika pracowni PW-2. Nie zajmowało mi to bynajmniej wiele czasu, a polegało głównie na zastępowaniu kierownika podczas jego urlopu i niekiedy w czasie jego chwilowej nieobecności w biurze. Wszelkie bieżące prace administracyjne, zwłaszcza prowadzenie umów, oraz związane z obsługą pracowników np. ich zaopatrzeniem w materiały kreślarskie itp., prowadziła pełnoetatowa ekonomistka-sekretarka pracowni Ludmiła Nowacka. Robiła to doskonale.

W dniu 18 lutego 1963 roku urodził się drugi mój syn. Również tym razem żona przebywała w szpitalu bardzo długo, bo aż prawie trzy tygodnie. Raz pielęgniarki pokazały mi niemowlaka przez szybę. Był podobny do swego dziadka, bo tak samo nie miał ani jednego włoska na głowie, a spojrzał na mnie tak krzywo, jakby miał do mnie jakieś pretensje.

Mieliśmy mały problem z uzgodnieniem imienia dla nowonarodzonego. Żona chciała by miał na imię Grzegorz lub Jarek, bo akurat była pod wrażeniem świeżo czytanych książek Jarosława Iwaszkiewicza. Mnie to pierwsze wydawało się dobre na młode lata, ale nieco niepoważne na wiek dojrzały. Ostatecznie nasz drugi syn otrzymał dwa imiona: Jarosław, Grzegorz. Rzecz jasna, że w potocznym używaniu było potem Grześ, Grzesiu, Grzegorz i tak już pozostało, a to pierwsze imię stało się tylko przyczyną różnych późniejszych drobnych nieporozumień formalnych.

W czasie przebywania żony w szpitalu, Maćkiem opiekowała się ciotka Irka, która zabrała go do swego mieszkania. Na dzień powrotu Kasi i Grzesia do domu mocno napaliłem w obu węglowych piecach w mieszkaniu i dokupiłem jeszcze elektryczny grzejnik (słoneczko), celem dodatkowego dogrzewania mieszkania np. na czas kąpieli niemowlaka. Nie było już natomiast potrzeby zakupywania tych wielu rzeczy, za którymi biegałem po sklepach po urodzeniu się pierwszego syna. Po prostu Grześ "odziedziczył" po Maćku śpioszki, czepki, wianienki, wózek itd.

W ostatnią niedzielę lutego poszedłem z Maćkiem na bal karnawałowy dla dzieci pracowników mojego biura, jaki zorganizowany został staraniem związku zawodowego mego biura w sąsiedniej, podopiecznej szkole podstawowej. Była to jego pierwsza zabawa, kupiłem mu kotylionową kokardkę oraz czapeczkę i otrzymał dużą paczkę ze słodyczami, podobnie jak wszystkie inne dzieci, biorące udział w balu.

Od marca wybrany zostałem przez załogę mego biura na członka Rady Zakładowej Związku Zawodowego Pracowników Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych. Taka była pełna, przydługa nieco, nazwa związku zawodowego, jaki zrzeszał w skali całego kraju pracowników, związanych z budownictwem, w tym również pracowników biur projektowych. A warto przypomnieć, że do związków zawodowych praktycznie należeli wszyscy pracujący.

Odtąd w Radzie Zakładowej należały do mnie sprawy, związane z rozpatrywaniem różnych problemów konfliktowych, występujących między pracownikami biura, a także skarg wnoszonych przez członków rodzin. Było to dosyć uciążliwe, trzeba było wysłuchiwać wszystkich uczestników sporu, godzić ich, niektóre sprawy były drażliwe, dotyczyły np. alkoholizmu i innych patologii. Ale w ogóle to tych konfliktów i skarg było bardzo niewiele.

Przez całe ubiegłe dwa lata, pracując wraz z żoną, zmuszeni byliśmy zatrudniać dochodzącą pomoc domową, której zadaniem była opieka nad naszym Maćkiem. Było ich trzy, czy cztery, głównie młode dziewczyny, bez doświadczenia w zakresie opieki nad dziećmi i raczej traktujące swą pracę dorywczo i przejściowo. W zasadzie pochodziły ze wsi i chodziło im głównie o możliwość zameldowania się w Krakowie. Praca w charakterze pomocy domowej dawała im taką możliwość. A gdy były już formalnymi mieszkankami Krakowa, wtedy starały się o pełnoetatowe zatrudnienie w jakiejś instytucji, czy przedsiębiorstwie państwowym. Właśnie w połowie maja byliśmy w takiej sytuacji, że nasza młoda pomoc domowa, z podkrakowskiej wsi, znalazła intratną posadę państwową i nas opuszczała.

Postanowiliśmy skończyć z tą prowizorką z przypadkowymi pomocami domowymi i zaangażować do opieki nad dwojgiem naszych dzieci raczej jakąś starszą kobietę, zamieszkującą na stałe w Krakowie. Daliśmy wtedy odpowiednie ogłoszenie do prasy, obiecując zresztą dobre wynagrodzenie. Odwiedzaliśmy potem zgłaszające się, aby sprawdzić, jak same mieszkają. Z pośród czterech prasowych kandydatek wybraliśmy starszą, około 50-letnią, kobietę, która mieszkała, wraz ze swym mężem emerytem, stosunkowo blisko i już przed wojną pracowała jako służąca. Zaangażowaliśmy ją od 15 maja i wydawało nam się, że będziemy mieli zapewnioną właściwą opiekę nad dziećmi na dłuższy okres czasu, to jest przez 3-4 lata, do ich podrośnięcia.

Ja, w każdym bądź razie, mogłem bez większych przeszkód rodzinnych angażować się w swej pracy zawodowej. A był to dla mnie okres bardzo pracowity. Przede wszystkim zająłem się opracowywaniem projektów dla siedmiu szkół "tysiąclecie" krakowskich. Zacząłem od wizji lokalnych, to jest oględzin terenów lokalizacji przyszłych szkół. Przez pewien czas w godzinach pracy wykonywałem jeszcze różne inne bieżące projekty. Były wśród nich: przebudowa przedszkola w Pcimiu, osadnik ścieków dla zaprojektowanej wcześniej szkoły podstawowej w Bieżanowie, projekt drogi dojazdowej do budynku mieszkalnego, w którym miałem mieszkać i inne. Natomiast po południu, już



Maciuś na balu

po godzinach pracy, a zwłaszcza w niedziele, gdy tylko była pogoda, dokonywałem wizji lokalnych terenu nowych szkół.

Na roboczej odbitce planu sytuacyjnego zaznaczałem wszelkie istotne dla budowy obiekty, urządzenia, nierówności terenu, istniejący drzewostan. Niekiedy stan istniejący miał szczególne znaczenie dla sposobu zaprojektowania i usytuowania przyszłej szkoły. Na przykład przy ulicy Praskiej, gdy zorientowałem się o występowaniu wysokiego poziomu wody gruntowej, to zaglądałem do nieodległej studni, pytałem sąsiadów o wahania zwierciadła wody gruntowej itp. Zaś na lokalizacji szkoły przy ul. Sierankiewicza, gdzie rosło bardzo dużo drzew, zaznaczałem na planie ich gatunki i na miejscu, już w trakcie wizji lokalnej, zastanawiałem się jak ustawić budynek szkoły i porozmieszczać boiska szkolne, by maksymalnie uchronić istniejący drzewostan. Szczególną uwagę zwracałem na wszelkie sieci elektryczne i uzbrojenia terenu, przebiegające obok oraz na dojazdy do przyszłych szkół.

Zwykle, w trakcie tych wizji lokalnych, robiłem po kilka zdjęć fotograficznych terenu działki i sąsiedniej zabudowy. Korzystałem z nich potem podczas opracowywania w biurze projektów zagospodarowania przestrzennego działek poszczególnych szkół. Zwykle zabierałem też na te wizje lokalne swego synka w wózku. On się czymś bawił lub siedział w wózek, a ja wykonywałem swą robotę. W ten sposób łączyłem przy okazji pracę zawodową ze spacerami w plenerze ze swym synem.

W połowie czerwca 1963 r. pojechaliśmy wszyscy czworo do moich rodziców w poznańskim. Maciek jechał do dziadków już na drugie swe wakacje, dla 4-miesięcznego Grzesia było to w ogóle pierwsza w życiu podróż pociągiem. Ja po trzech dniach pobytu u rodziców powróciłem do Krakowa, czekał mnie bowiem nawał pracy zawodowej.

Kasia z dziećmi przebywała u dziadków przez cały miesiąc, to jest do połowy lipca. Mieli tam piękną pogodę i te wakacje dla nich były bardzo udane. Maciek większość dnia spędzał w sporym ogrodzie-sadzie, bawił się ze swym rówieśnikiem z sąsiedztwa, mieli w ogródku piaskownicę, wózek, różne zabawki, piłkę. Nieraz pomagał babci w różnych czynnościach domowych i ogrodowych, a razem z dziadkiem karmił kury, doglądał królików, słuchał jego opowiadań.

Kasia odżyła "na łonie natury", też przebywała większość dnia w ogrodzie, opiekując się głównie maleńkim Grzesiem, który przesiadywał na jej kolanach lub spał smacznie w wózek na świeżym powietrzu. Wkrótce zresztą grono wczasowiczów u dziadków się powiększyło, gdyż z nastaniem ferii szkolnych przyjechały ciotka Aniela i moja siostra z Wrocławia, z dwójgiem swych dzieci: Januszkiem i Grażynką. Wtedy często organizowała się przy karcianym stoliku w ogrodzie czwórka do bridża, którego wszyscy dorośli byli namiętnymi amatorami.

Kuchnią zawiadywała babcia, zresztą mistrzyni w tym zakresie. Dogadzała pod tym względem wszystkim, a zwłaszcza wnukom, które zapamiętały już na zawsze kopiaste talerzyki słodziutkich truskawek ze śmietaną i wazy pełne smakowitych pierogów z jagodami.

Ja w tym czasie, od powrotu z Kępna, zabrałem się do opracowywania projektów koncepcyjnych mych szkolnych "tysiąclatek". Miałem już wszystkie materiały wyjściowe do projektowania, a to założenia inwestorskie, plany sytuacyjno-wysokościowe, dokumentacje geologiczno-inżynierskie, inwentaryzacje stanu istniejącego i ustalone typy szkół do zastosowania. Mogłem więc zabrać się do opracowania fazy projektów wstępnych inwestycji.

Oczywiście nie było żadnych szans, aby każdą ze szkół projektować indywidualnie. W czterech przypadkach posłużyłem się opracowanymi wcześniej przeze mnie szkołami typu "Wierzbno", oraz dwoma innymi projektami typowymi, jakie sprowadziłem z Biura Projektów Typowych w Warszawie.

W ramach każdego projektu wstępnego opracowałem: plan zagospodarowania przestrzennego, koncepcję zmian do zastosowanych projektów powtarzalnych, koncepcję podłączeń do zewnętrznych sieci sanitarnych, gazowej, c.o. i elektrycznej, wytyczne realizacji inwestycji oraz zbiorcze zestawienie kosztów inwestycji. Wykonywałem to wszystko sam, przy minimalnej kooperacji z branżowymi projektantami, z którymi w zasadzie tylko uzgadniałem poszczególne opracowania.

Ponieważ rodzina przebywała na wakacjach, mogłem sobie pozwolić na przebywanie w biurze do późnych godzin wieczornych, wracając do domu jedynie na nocleg. Śniadania przygotowywałem sobie sam w mieszkaniu przed wyjściem do pracy, na obiady chodziłem do pobliskiej restauracji przy ul. Daszyńskiego.

Ostatecznie wszystkie siedem projekty wstępne krakowskich "tysiącleci" gotowe były do końca lipca i po reprodukcji przekazane zostały przez biuro inwestorowi. Później po przygotowaniu odpowiednich koreferatów inwestorskich, projekty te rozpatrzone i zatwierdzone zostały w dniach 17 i 18 sierpnia przez Komisję Oceny Projektów Inwestycyjnych. Od tego momentu można było przystąpić do opracowywania realizacyjnej dokumentacji techniczno-roboczej dla wszystkich tych szkół.

Do Krakowa żona z dziećmi powróciła w połowie lipca. Kasia z energią zabrała się do swojej pracy zawodowej, zaś dzieci na czas naszej pracy miały stabilną, fachową opiekunkę. Mogłem właściwie dalej pracować po kilkanaście godzin na dobę.

W tym okresie bardzo rzadko chodziliśmy do kina, teatru, na imprezy rozrywkowe czy zabawy. Wiązało się to z koniecznością zatrzymywania na wieczór naszej gosposi, za co dodatkowo płaciliśmy, względnie upraszania do pilnowania dzieci naszej sąsiadki p. Gleniowej, lub jej kilkunastoletniej córeczki. Ale przede wszystkim nie mieliśmy na to czasu.

Prowadziliśmy jednakże małe życie towarzyskie, spotykając się w soboty, prawie co tydzień-dwa, z naszymi przyjaciółmi Stachniakami. Odwiedzaliśmy się na przemian wzajemnie w swych mieszkaniach, graliśmy w brydża, zawsze była też jakaś mała konsumpcja przygotowana przez aktualnych gospodarzy. Jeśli chodzi o naszych przyjaciół, to w roli kuchmistrza występował zwykle Igor. Był w tej funkcji znakomity, między innymi serwował dwukolorowe herbaty. Długo nie potrafiłem zgłębić jej receptury, a sprawa zasadzała się oczywiście na prawach fizyki. Należało wpięrować do szklanki gorącej wody dodać nieco esencji i posłodzić ją, a resztę gorącej esencji dolać pomału (po srebrnej łyżeczce) po pewnej chwili. Lekko zabarwiona osłodzona woda miała większą gęstość niż niesłodzona esencja i oba różnokolorowe płyny przez dłuższą chwilę nie mieszały się ze sobą.

Stachniakowie mieszkali wtedy w obskurnym baraku po jakimś przedsiębiorstwie budowlanym. Natomiast ich dwupokojowe mieszkanie było przytulne, bardzo zadbane, można powiedzieć, że wprost wypieszczone. Igor miał wielkie poczucie estetyki i zdolności manualne, w mieszkaniu było wiele półeczek, szafek, zasłon jego własnej roboty. A meble, kolorystyka ścian świadczyły o dobrym guście gospodarzy. Podczas gry w brydża Maciek i Andrzej bawili się wspólnie zabawkami lub układankami, zaś Grześ spał w łóżeczku lub wózk. Kilka razy wybraliśmy się na sanki pod Kopiec Kościuszki. To znaczy na sankach jeździli głównie nasz Maciek i ich Andrzej.

Kasia miała dość liczną rodzinę w Krakowie. Tak się złożyło, że w znakomitej większości były to kobiety: ciotki Olga z córkami Bogusią i Danusią, Irka z córką Izą

oraz Jasia. Widywaliśmy się jednakże z nimi bardzo rzadko. Bliższe kontakty mieliśmy właściwie tylko z ciotką Irką i jej córką Izą. Z nimi dwoma najczęściej się spotykaliśmy i one służyły nam dorywczo pomocą w opiece nad naszymi małymi dziećmi, zwłaszcza zabierały je na spacer. Kilka słów o nich samych.

Czterdziestoparoletnia Irka, przeżyła w Krakowie swe młode lata w okresie przedwojennym we względnym dostatku. Podczas wojny miała małą dobrze prosperującą wytwórnię i sklepik z krawatami przy ul. Grodzkiej. Z uzyskanych dochodów wybudowała kilkurodzinny dom, jednakże po jego ukończeniu, już po wojnie, na kilka lat wyjechała do Gdyni wraz ze swymi rodzicami i córeczką, urodzoną w 1945 r. Po powrocie nigdzie już nie pracowała i z biegiem lat miała coraz większe kłopoty materialne, żyła jedynie z wynajmu mieszkań w swym domu, w którym sama mieszkała w małej suterenie. Była w związku z tym sfrustrowana, zgorzkniała, ciągle wspominała lata swej młodości, które nijak nie chciały powrócić.

Jej córka Iza miała z kolei żal do mamy za jej nieza-radność życiową, niechlujne utrzymywanie mieszkania, którym wstydziła się wobec swych koleżanek itp. Równocześnie miała wielkie ambicje osobiste i chęć urzędzenia sobie lepszego życia. Wkrótce wyemigrowała do Włoch, tam wyszła za mąż i pozostała na stałe, osiągając z powodzeniem i w pełni swe życiowe cele.



Irka, Maciuś, Kasia

Na opracowanie wszystkich siedem projektów techniczno-roboczych dla krakowskich "tysiąclatek" mieliśmy w biurze projektowym, zgodnie z umowami, zawartymi z inwestorem, to jest Dyrekcją Budowy Osiedli Robotniczych Kraków-Miasto, jedynie 3-5 miesięcy czasu.

W tej pracy zaangażowane były, oprócz mojego zespołu architektonicznego również wszystkie zespoły branżowe: konstrukcji, instalacji i sieci sanitarnych, drogowy oraz zieleni w ramach pracowni PW-2, a także zespoły instalacji i sieci elektrycznych, oraz kosztorysowania w pracowniach kooperujących. Najważniejszą więc była właściwie koordynacja tych wszystkich prac, terminowe przekazywanie podkładów architektonicznych projektantom branżowym, gotowych projektów do kosztorysowania itd.

Tego typu koordynacja w biurach projektowych była podstawowym zadaniem kierownika pracowni, w tym konkretnym przypadku włączyłem się osobiście do koordynacji, jako główny projektant i zastępca kierownika pracowni. Względnie łatwo jest ją prowadzić, gdy istnieją rezerwowo "moce produkcyjne" w poszczególnych zespołach projektowych. W tamtym okresie całe biuro było poważnie obłożone umowami i takich wolnych mocy projektowych nie było. Prace przy moich szkołach, to była tylko część tego, co aktualnie biuro opracowywało, ale można powiedzieć, że miały one "zielone światło", stanowiąc także dla dyrekcji biura priorytetowe zadanie. Udało nam się zorganizować istic taśmową robotę na deskach projektanckich, również szybko przepisywano, odbijano i oprawiano poszczególne opracowania w "wykańczalni", to jest w pracowni reprodukcyjnej.

W rezultacie przekazaliśmy inwestorowi pełną, kompleksową dokumentację techniczno-roboczą na wszystkie dziesięć szkół, w tym trzy nowohuckie, w umownych terminach do końca lutego 1964 roku. Przedsiębiorstwa wykonawcze mogły więc rozpoczynać roboty budowlane. Ale faktycznie to już od IV kwartału produkowano dla tych szkół wielkowymiarowe prefabrykaty betonowe typu "Wierzbno" na poligonie KPB-NH,

gdyż odpowiednie zestawienia prefabrykatów przekazałem z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem.

W ogóle rok 1963 był dla Krakowa brzemienny w inwestycje budowlane. Oprócz dalszej rozbudowy przemysłu, głównie kombinatu hutniczego w Nowej Hucie, i osiedli mieszkaniowych, realizowany był także wielki program rozbudowy wyższych uczelni krakowskich. Miał on faktycznie w ciągu około ośmiu lat zwielokrotnić potencjał dydaktyczny Uniwersytetu Jagiellońskiego, a zwłaszcza Akademii Hutniczo-Górnictwej, dla której przeznaczono rozległe tereny wzdłuż prawie całej ulicy Reymonta. Program realizowano pod hasłem uczczenia jubileuszu 600-lecia istnienia UJ, przypadającego na 1964 rok. Między innymi w 1963 r. w budowie znajdowały się: skrzydło Biblioteki Jagiellońskiej, Obserwatorium Astronomiczne w forcie Skała, Collegium Paderevianum przy ul. Kopernika i szereg domów studenckich przy ul. Piastowskiej. Dokumentację projektowo-wykonawczą dla wszystkich tych obiektów opracowało Biuro Projektów "Miastoprojekt-Kraków".

Natomiast w moim Miejskim Biurze Projektowym wykonany został projekt generalnego remontu i przebudowy Rynku Głównego w Krakowie. Polegał on na zastąpieniu nawierzchni z kamieni brukowych na płyty granitowe, przy wcześniejszej wymianie podziemnych sieci instalacyjnych. Wszystkie te roboty zostały wykonane potem w ekspresowym tempie w ciągu półtora roku.

W geopolityce 1963 rok był względnie normalnym rokiem. Było kilka pozytywnych wydarzeń, jak powstanie Organizacji Jedności Afrykańskiej, po przez którą państwa afrykańskie, zwłaszcza liczne nowopowstałe, chciały realizować wspólne cele i interesy kontynentu afrykańskiego. Zawarty też został układ Wielkiej Brytanii, ZSRR i Stanów Zjednoczonych w sprawie zakazu prób nuklearnych naziemnych i w atmosferze. Z drugiej strony miały miejsce krwawe rozruchy i zmiany rządów w Wietnamie Południowym, zamieszki na tle rasowym w Alabamie w USA, było też sporo klęsk żywiołowych, w tym wielkie trzęsienie ziemi w Skopje w Jugosławii z tysiącami ofiar.

Najtragiczniejszym wszak wydarzeniem roku było niewątpliwie zamordowanie prezydenta Stanów Zjednoczonych Johna Kennedy'ego 22 listopada w Dallas w stanie Texas. Przypuszczalny sprawca zamachu, były żołnierz "marines", Lee Osfald został prawie natychmiast zatrzymany przez policję, zaś za kilka dni zastrzelony w otoczeniu i na oczach policjantów. Jego mordercę skazano szybko na śmierć. Zaś śledztwo w sprawie zabójstwa Kennedy'ego rozmyło się rychło w sprzecznych zeznaniach świadków, mylnych tropach oraz błędach policji i chyba nigdy już opinia publiczna nie dowie się wiarygodnie, kto był faktycznym sprawcą i inspirował zabójstwo.

A ważyło ono w polityce świata bardzo wiele. J. Kennedy jawił się jako nowoczesny typ polityka już powojennej generacji, zdecydowany, ale i kompromisowy, był nadzieją na powstrzymanie nieustannego dryfowania polityki światowej w kierunku konfrontacji supermocarstw i katastrofie nuklearnej. Prezydentem został w listopadzie 1960 r, mógłby więc być sternikiem władzy w USA jeszcze dalsze 10 lat, licząc dwie kadencje. Komuś zależało, by tak się nie stało.

Ja osobiście bardzo Kennedy'ego ceniłem i faktem jego nagłej śmierci byłem, można powiedzieć, zdruzgotany. O zamachu dowiedziałem się z radia w biurze. Natomiast gdy po pracy przyszedłem do domu, przywitała mnie radosna, wprost rozanielona, służąca, wyrażająca swą wielką radość, że wreszcie ten bezbożny Antychryst, komunista Kennedy nie żyje. Nie przerywałem jej słowotoku, byłoby to zresztą tylko stratą czasu. Nasza Duda znana była z tego, że opowiadała wszystkim o swych objawieniach Matki Boskiej, relacjonowała je w szczegółach, a świat widziała tylko przez swe "boże" okulary. Gdy nasz Maciek przeziębził się z jej wyraźnej winy, to była to kara boska za to,

że nie chodziliśmy do kościoła. Gdy stłukła ona wazon, to Bóg tak chciał itp. Nie zwracaliśmy z żoną uwagę na ten skrajny obskurantyzm i dewocyjność naszej pomocy domowej. Miała ona ponad pięćdziesiąt lat i nie naszą rolą było jej edukowanie i oświecanie. Ponad to zależało nam na właściwej opiece nad naszymi dziećmi, a światopogląd i stan umysłu służącej nie miał dla nas większego znaczenia. A faktycznie małym Grześkiem zajmowała się troskliwie, traktując go jakby własnego wnuka. Gorzej było z odnośzeniem się do Maćka, który był bardzo ruchliwy i przekorny i już wtedy znacznie mądrzejszy od swej opiekunki.

W lutym, w ramach urlopu wypoczynkowego, znów pojechaliśmy na dwutygodniowe wczasy, tym razem do Szklarskiej Poręby Górnej. Zabraliśmy ze sobą 3,5-letniego Maćka, Grześ został pod opieką naszej pomocy domowej. Miała na ten czas zamieszkać w naszym mieszkaniu.

W Karkonoszach było bardzo dużo śniegu. Wypożyczyliśmy więc w domu wczasowym sanki, na których nasz synek, wraz z chmarą innych dzieciaków, zjeżdżał zapamiętałe z pobliskiej górki. Poza tym zabieraliśmy sanki także na spacer po mieście i woziliśmy Maćka, gdy zmęczył się wędrówką.

Trochę nieopatrznie wybraliśmy się pewnego pogodnego dnia na Szrenicę. Jest to kopiasta góra wysokości 1362 m n.p.m., najwyższa w zachodniej części Karkonoszy. Wjechaliśmy na szczyt dwuczęściowym wyciągiem krzesełkowym, zmontowanym niedawno w latach 1961/62. Na górze panowała bardzo ostra zima, był siarczysty mróz, a rzadkie sosny wyglądały jak poszarpane wiatrem białe skałki sterczące na białej sfaldowanej pustyni. Do schroniska musieliśmy przejść jeszcze kilkaset metrów, nie było prawie ludzi i żałowałem, że zaryzykowaliśmy tak uciążliwą, iście alpejską, wyprawę z małym synkiem. Ale dotleniliśmy się porządnie.

Po powrocie sąsiedzi donieśli nam, że na okres naszego pobytu na wczasach, w naszym mieszkaniu zamieszkiwał również mąż Dudy i że ponoć wynosił z piwnicy, i gdzieś zabierał ze sobą, ziemniaki i przyprawy konserwowe. Nawet nie chciało mi się tego sprawdzać i liczyć.